

KUBA WANDACHOWICZ

GENERACJA NIC

Myśleliśmy, że rzeczywistość nowej Polski pozwoli nam 20-latkom jakoś spektakularnie zaistnieć. Myliliśmy się bardzo. Ci z nas, którzy powinni dbać o intelektualne i duchowe zaplecze, uczestniczą dzisiaj w nachalnym urabianiu najniższych społecznych gustów, bo tylko w ten sposób mogą zarobić na życie

O pokoleniu, które przegrało z wolnością, pisze KUBA WANDACHOWICZ absolwent filozofii, członek zespołu rockowego Cool Kids of Death

Słowo „generacja” zawsze kojarzyło mi się z pewnym w miarę przejrzyście zdefiniowanym rezerwuarem wymagań światopoglądowych, z pewnym katechizmem wartości oraz z przekonaniem o powinności dokonania czegoś, co można nazwać próbą przekroczenia samego siebie, dokonania pewnego rodzaju skoku w przyszłość, odbicia się od miernoty rzeczywistości w imię rozmaicie pojmowanej utopii. Jeśli przyjmiemy, że utopia jest snem, który obiecuje nam więcej i mobilizuje do działania zaraz po przebudzeniu, to, niestety, należy stwierdzić, że my, generacja ludzi urodzonych w połowie lat 70., cierpimy na niezwykle zaawansowaną bezsenność.

To nie moje pokolenie

Mam 27 lat i nie mogę uwierzyć w swój wiek. Nie istnieje żaden społeczny kontekst usprawiedliwiający moje istnienie i - co za tym idzie - ja sam nie jestem w stanie usprawiedliwić żadnego społecznego kontekstu, który pełniłby funkcję mojego „matecznika”. Nie chodzi tu tylko o problem szeroko pojętego bezrobocia, problem warunków i możliwości samorealizacji (choć te czynniki odgrywają tu z pewnością rolę fundamentalną), ale również o zagadnienie wymagań i zadań, jakie my sami przed sobą stawiamy, o problem języka, jaki stworzyliśmy w celu opisanie samych siebie i tego, co dookoła nas. Chodzi tu o kwestię naszej (trudno jest mi używać w tym kontekście słowa „nasz” we wszystkich przypadkach i odmianach) twarzy, która często jest twarzą zmęczonego życiem defetysty, bezideowca, hiphopowca, pracownika agencji reklamowej (jako symbolu nowocześnie pojmowanego awansu społecznego), palacza marihuany, pseudokibica, alkoholika (który upija się piwem w pubach - taka teraz moda...), dziennikarza, dresiarza, pracownika banku, działacza prawicowych młodzieżówek, który wiarę w sprawczą siłę polityki czerpie z przedwojennych publikacji... Trudno jest się odnaleźć w tym wariackim tyglu. A co dopiero stworzyć generację!

Poniższe dywagacje nie mają na celu socjologicznej analizy zjawiska pokolenia urodzonego w latach 70. (i później), lecz raczej zupełnie nienaukowy, subiektywny opis stanu ducha, którym owo pokolenie próbuje mnie uwieść. Nie jestem socjologiem. Jestem jednym z przedstawicieli owego „pokolenia”, który nie czuje z nim żadnego duchowego związku.

Nurtuje mnie problem pokolenia moich rówieśników - aspiracji i wymagań składających się na intelektualny mainstream kształtowanego przez nich świata. Zjawisko intelektualnego

marginesu, jakże potrzebnego w każdej kulturze, nie może być przecież wyłączną receptą na przerażającą pustkę kultury oficjalnej (która, działając ponoć na zasadach wolnorynkowych, jest przecież wynikiem społecznego zapotrzebowania, koniunktury świadczącej w tym wypadku o żenująco niskich wymaganiach społecznych). Problem ten ma jeszcze parę innych aspektów, które powinny być kiedyś zbadane: jak możliwa jest kultura alternatywna w sytuacji, kiedy praktycznie nie istnieje jakikolwiek żywotny mainstream, oraz jak możliwe jest istnienie kultury w ogóle, skoro odbiorcy śpią snem zimowym.

Artyści za pieniądze

Ograniczmy się jednak do mojego pokolenia; pokolenia ludzi młodych, których wiek wskazywać powinien na największe możliwości zmiany obrazu rzeczywistości. Wydaje się, że wraz z wolnością, jaką otrzymaliśmy w wieku podstawówkowo-licealnym, dużo zmieniło się w naszych oczekiwaniach i wymaganiach. Starsi chcieli pieniędzy i wolności, nas interesowała przede wszystkim wolność (ot, taka natura wieku, z właściwym sobie młodzieńczym romantyzmem), podczas gdy współcześnie nas i młodszych od nas interesują już tylko pieniądze. To banał, jednak dużo w nim prawdy. Ile osób porzuciło lub ograniczyło swoje ideały na rzecz pracy w agencjach reklamowych, zgadzając się na schlebianie najniższym gustom klientów i zleceniodawców? Pech polega też na tym, że elity finansowe w tym kraju kształtowały się na bardzo dziwnych zasadach (wiadomo, że większość interesów po 1989 roku odbywała się na wariackich papierach, wykorzystując rozmaite luki prawne i organizacyjne, do tego dochodzi zagadnienie majątków peerelowskich i postpezetpeerowskich). Decydenci w Polsce zawsze byli niezwykle oddaleni od elit kulturalnych i praca dla nich musiała (i nadal musi) być udręką dla kogokolwiek, kto do zasilenia grona owych intelektualnych i kulturalnych środowisk kiedykolwiek pretendował. Musiało to wiązać się z wyrzeczeniami, które z pewnością stawały się źródłem wielu frustracji. Ten pęd do kariery, który rozpoczął się na początku lat 90., kiedy jak grzyby po deszczu powstawały agencje reklamowe zdolne zatrudnić całkiem sporą liczbę absolwentów szkół artystycznych lub po prostu tych, których wrażliwość i inteligencja wyrastały ponad przeciętną, zaowocował niebezpiecznym deficytem pomysłów na świat.

Wolność, którą nasz kraj zyskał po 1989 roku, stała się w pewnym momencie słowem kończącym wszelki dyskurs. Wyrażenie „jesteśmy wolni” zaczęło coraz częściej oznaczać, że mamy prawo nie mieć pomysłów na życie, mamy prawo żyć z dnia na dzień, ciesząc się tym, co możemy sobie kupić za ciężko zarobione pieniądze. Nie ma się co dziwić - to pokolenie zostało wychowane na braku, na kompleksach, na pewnej naturalnej zazdrości względem społeczeństw zachodnich, które miały wszystkiego pod dostatkiem. Sam doskonale pamiętam, jakim zachwytem przepelniały mnie wszystkie nowinki zza zachodniej granicy, wszystkie nowe mody, zespoły, filmy, komiksy, a także najzwyczajsze w świecie dziecięce zabawki, których urok działał również na ludzi o wiele starszych ode mnie. Powstaje jednak pytanie, czy owa wolność, którą szczycimy się dziś, była osiągnięta jedynie w imieniu tych doraźnych przyjemności? Nie ma się co łudzić - rewolucja w tym kraju powstała dzięki społecznej potrzebie lepszego życia, tak jak każda rewolucja na świecie. Jednak czy my, ludzie, których najważniejsze momenty w życiu przypadły na okres przełomu epok, możemy poprzestać na bezwiednej akceptacji tego, co nazywa się wolnymi mechanizmami rynkowymi, które nie stawiają przed nami żadnych wyzwań oprócz tych związanych z tzw. karierą zawodową? Czy to jedyna wolność, na jaką nas stać? Czy nam jest wszystko jedno? Czy mamy jakiś właściwy sobie język; język wyrażający nasze najgłębsze pragnienia i ambicje, mający stać się naszym osobistym pomostem w przyszłość? Czy cokolwiek odróżnia nas od innych pokoleń? Czy my czegoś oczekujemy od życia? Co to jest?!

Okopy św. Etatu

Problem bezrobocia, który stał się obecnie osią wszelkich niepokojów społecznych, w zestawieniu ze społeczno-ekonomicznym boorem wczesnych lat 90. jawi się jako dodatkowy, jeżeli nie główny katalizator ogólnego rozprężenia charakteryzującego pokolenie dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków. Jeżeli bowiem sytuacja rynku pracy przypomina w istocie rzeczywistość postnuklearną, to niejako na mocy najpierwotniejszych praw „dżungli” oczywiste jest, że każdy z trudem zdobyty etat będzie bronił z ponoszeniem coraz to większych poświęceń, również w dziedzinie, którą nazwijmy po staroświecku „duchową”. Dzisiejszy trzydziestokilkulatek będzie robił wszystko, żeby utrzymać zdobytą na początku lat 90. posadę, ponieważ wie, że strata etatu może się wiązać z ostatecznym wykluczeniem z rynku pracy, a na jego miejsce czeka już tabun zgłodniałych sukcesu młodych ludzi. Tworzy się niezdrowa sytuacja niewypowiedzianego szantażu, gdzie pracownik do tego stopnia jest uzależniony od swojego etatu, że będzie go bronił za wszelką niemal cenę. Intelktualne i duchowe wartości, których tak staroświecko staram się tutaj bronić, pójdą na pierwszy ogień, ponieważ w doraźnym rozrachunku ich strata boli najmniej. To szczególnie bolesne w przypadku tych, którzy niejako z racji „urodzenia” (czytaj: talentu i wykształcenia) powinni budować intelektualne pomosty w przyszłość. Ci, którzy już mają pracę, i ci, którzy jej jeszcze nie mają (i być może nigdy mieć nie będą, a przynajmniej nie taką, jaką sugerowałyby talent i wykształcenie), nie zrobią nic, by spróbować przeżyć swe życie w sposób świadomy, ponieważ nie będą mieli na to czasu, sił, pieniędzy...

Idol - Klient

Kiedy zdawałem na studia (rok 1994), czuło się w powietrzu pewną obietnicę, pewną realną możliwość zmian, poczucie zdolności wpływania na intelektualne trajektorie nowo powstałej rzeczywistości. Wydaje się, że nie byłem w tym odczuciu osamotniony. Wiele się wówczas działo. Dzisiejsi trzydziestoparolatkowie właśnie „łapali się” swoich etatów, a my czuliśmy, że nie będzie źle. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że nikt nie pozwoli nam na realizację żadnych względnie górnolotnych zamierzeń, a my sami staniemy się na tyle słabi, że nie będziemy mieli siły niczego od życia wyegzekwować. Nie wiedziałem, że wszystkie intelektualne ambicje moich rówieśników zamkną się między stronicami publikacji typu: „Jak mówić >nie<”, „Jak uwierzyć w siebie”, „Jak w zgodzie ze sobą osiągnąć sukces”, itp., a niezwykle modnym odruchem religijnym stanie się przaśny buddyzm kultywowany w oparach marihuany, która od tej pory będzie stanowiła nieodłączny element życia młodego człowieka, potęgując fizyczne i mentalne rozleniwienie.

Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś natchnione potępienie wszelkich używek. Chodzi raczej o dezaprobatę wyrażoną wobec pewnego stylu życia, który zaowocował tak daleko posuniętym wyluzowaniem, że nagle wszystko przestało się liczyć. Markiz de Sade nie dlatego był tym Markizem de Sade, że wiódł życie hulaszczę, ale dlatego, że w trakcie swoich praktyk starał się jak najintensywniej myśleć.

Z jednej strony zachłysłiliśmy się wolnością, rozbudziliśmy w sobie (lub może rozbudowano w nas) optymizm, by za parę chwil stanąć przed ponurą perspektywą bezrobocia i konieczności hołdowania najniższym instynktom nowego idola - bezosobowego Klienta. Daliśmy się wpędzić w błędne koło, bo ulegając zachciankom tego dziwnego stwora, zaczęliśmy aktywnie uczestniczyć w tworzeniu go, umacnianiu jego atawistycznych pobudek i niewybrednych zachcianek. Nie ma żadnej bezpiecznej enklawy, która pozwoliłaby na chwilę oddechu, refleksji, ponieważ ciągle jesteśmy zmuszani do kultywowania tej zalety

nowoczesności, jaką jest „elastyczność”. Czy nikt nie potrafi zauważyć różnicy pomiędzy marketingiem a sferą szeroko pojętej kultury? Kto powiedział, że wolnorynkowa logika musi zyskać rangę ostatecznej struktury wszelkiego twórczego myślenia? Dostrzegając plusy i minusy współczesnych zachodnich kulturalnych kombinatów, musimy pamiętać, że podstawowym żywiołem artysty, myśliciela, „inteligenta” jest pewna podstawowa niezależność, kontra, którą powinien w sobie pielęgnować...

Co z tego, skoro ponura rzeczywistość stawia przed nami inne, całkiem przyziemne zadania? Nie mamy czasu, sił, pieniędzy ani nawet ochoty martwić się o - znów użyję niezdolnie banalnej frazeologii czasów minionych – „duchowy wymiar naszych czasów”. Ciemne strony zdobytej w trudach wolności frustrują, a jej przybytki rozleniwiają. Myśleliśmy, że rzeczywistość nowej Polski pozwoli nam jakoś, mniej lub bardziej spektakularnie, zaistnieć. Myliliśmy się bardzo. Dzisiaj ci, którzy teoretycznie powinni dbać o intelektualne i duchowe zaplecze, jawnie uczestniczą w nachalnym urabianiu najniższych społecznych gustów, bo tylko w ten sposób mogą jakoś zarobić na życie. A przy tym zarabianie pieniędzy to w naszych czasach niezwykle wielki przywilej! Wmawia się nam, że już sam fakt posiadania pracy powinien wystarczać za realizację największych życiowych aspiracji, i my się tak czujemy. Robiąc byle co, wmawiamy sobie, że właśnie uczestniczymy w realizacji nowego, wspaniałego świata i powinniśmy wszystkich całować po rękach, że dany nam był ten zaszczyt.

Rimbaud w agencji reklamowej

Co dzisiaj porabiają moi najbardziej obiecujący przyjaciele z czasów studiów?

Mateusz, jedna z najbardziej nietuzinkowych postaci, z którymi dane mi było przyjaźnić się, pracuje w dużej firmie. Jego stanowisko nazywa się prawdopodobnie jakoś po angielsku. Nie ma nic wspólnego z naszym kierunkiem studiów, czyli z filozofią. Nie chciał mi dokładnie powiedzieć, o co chodzi. Śmiał się tylko, że jako dyplomowany filozof może przecież robić wszystko. Mateusz w czasie studiów przepisywał Nowy Testament na modłę surrealistyczną, pisał opowiadania, a także coś, co wprawiało mnie i profesorów w zdumienie - zabierał z biblioteki całe sterty czystych rewersów i drobnym maczkiem w każdej wolnej chwili zapępiał je swoimi przemyśleniami. Tych zapisanych rewersów miał mnóstwo. Potem przepisywał je na specjalnie w tym celu kupionym komputerze. Jeden z wykładowców chciał pomóc mu w wydaniu dzieła. Było już bardzo blisko, ale w ostatnim momencie coś nie wypaliło. Fakt jest taki, że mój kolega przestał pisać. Rimbaud wyjechał na pustynię, Mateusz do agencji reklamowej...

Krzysiek, człowiek o wielkich ambicjach naukowych, który staraniom o przyjęcie na studia podyplomowe poświęcił naprawdę dużo uczciwej pracy, zarabia obecnie na życie, pisząc prace magisterskie, licencjackie, zaliczeniowe. Nie dostał się na dzienne studia doktoranckie, choć według wielu należało mu się to jak nikomu innemu. Cóż, kryteria oceny studenta nie są w tej materii jasne i powinno to stać się tematem osobnych dociekań. Krzysiek robi doktorat zaocznie, choć już wie, że nie może pisać pracy z dziedziny, która interesuje go najbardziej. Musiał wybrać taki temat i takiego promotora, który zagwarantuje mu w przyszłości pracę na uczelni. W środowiskach akademickich, tak jak wszędzie, panuje tajemniczy system personalnych zależności i większość rzeczy należy sobie po prostu „załatwić”. Krzysiek wyliczył mi swoją średnią miesięczną „pensję”, jaką uzyskuje dzięki pisaniu na zamówienie: 1370 zł. Prawie średnia krajowa. Zamówień jest wiele, szczególnie w okresie sesji. Dużo zamówień przychodzi od studentów nowych prywatnych uczelni. Tematy prac, które pisał

ostatnio, to „Kompetencje kierownika małej firmy” i „Mycie i dezynfekcja w zakładzie gastronomicznym”. Najmniej za napisanie pracy wziął 450 zł, górna granica to 4200 zł. Pisze po kilka prac naraz i zawsze dostaje najlepsze oceny. Co by było, gdyby mógł tą energię i czas poświęcić na uczciwą pracę naukową...

Marcin pisał artykuły do dwóch pism, w których miał jakiegokolwiek znajomości. Była to bodajże „Moda Męska” i jakieś pismo o damskiej bieliźnie. W żadnym innym periodyku nie udawało mu się zaistnieć. Redaktorzy naczelni takich pism branżowych wymagają prostego i przejrzystego stylu pisania. Nic dziwnego, artykuły muszą docierać do umysłów jak największej liczby klientów. Smutne jest tylko to, jak taka praca może zmienić wykształconego człowieka, jakich kompleksów może go nabawić. Przez pięć lat edukacji Marcin wyrobił sobie znakomity, niemalże literacki styl pisania, teraz zaczęto mu wmawiać, że wszystko, czego się nauczył, to nie tylko niepotrzebny balast, ale nawet przeszkoda znacznie utrudniająca zarabianie pieniędzy. Marcin na studiach pisał o współczesnej filozofii francuskiej. Kusząc się o żart, można powiedzieć, że nie skończył aż tak daleko od swoich zainteresowań. Kiedyś zajmował się écriture [pisanie], dzisiaj lingerie [bielizniarstwem]...

Michał, który napisał znakomitą pracę magisterską o obecności śmierci w myśli zachodnioeuropejskiej, jest dealerem sprzętu fotograficznego.

Andrzejowi po wielkich trudach udało się pozostać na uniwersytecie. Temat pracy doktorskiej wybierał również w oparciu o ocenę szans dalszej pracy na uczelni. Jako doktorant na początku dostawał 560 zł, teraz jest to 710 zł.

Marek pracuje w kasie jednego z multipleksów.

Ja jestem bezrobotny. Takich jak ja jest mnóstwo.

Chcesz być szczęśliwy - ogłup się sam

Każdy człowiek posiadający ambicje twórcze jest skazany na konieczność wkomponowywania tych ambicji w zastane realia. Musi przyjąć warunki artykulacji, które stawia przed nim rzeczywistość (w tym przypadku młoda rzeczywistość wolnorynkowa). Wiadomo - chcąc być zrozumianym, należy mówić językiem zrozumiałym, a więc w pewien sposób wymuszonym przez odbiorcę. Problem pojawia się wtedy, kiedy odbiorcą jest znudzony, leniwy człowiek bez ideałów czy intelektualnych ambicji. Taki odbiorca niejako wymusza stosowanie poniżających „praktyk marketingowych”, a więc konstruowanie wszystkiego na zasadzie lekko strawnego hamburgera, którego konsumpcja nie wymaga zbyt wiele wysiłku. Wydaje się, że to właśnie jest żywioł określający współczesną mentalność ludzi młodych, wyznaczający drogi realizacji wszelkich mniej lub bardziej ambitnych projektów, jeśli nie chcą one skończyć gdzieś na marginesie oficjalnego obiegu. Wolnorynkowa rzeczywistość oddaje ster w ręce bezosobowego Klienta, nie dbając o to, kim jest i jakie stawia przed sobą cele. Nic dziwnego, że to budzi w niektórych wściekłość. Z drugiej strony można oczywiście wybrać życie na marginesie zdarzeń i do końca swych dni szczyścić się autentycznością i niezależnością, jednak taki „artystowski” model społecznej banicji nie jest wyzwaniem dla każdego. Nie sposób wymagać, aby stał się on jedynym rozwiązaniem dla wszystkich, którzy pragną realizować się w sposób szczerzy, autentyczny i przemyślany (cokolwiek miałyby to oznaczać).

W naszym świecie bunt jest o tyle trudny, że buntując się przeciwko ogłupiającym mechanizmom wolnorynkowej indoktrynacji, chcąc znaleźć wreszcie azyl pozwalający na względną autonomię, na czas na pomysły na świat, na ideały, musimy jednocześnie buntować się przeciwko nam samym, a przynajmniej przeciwko naszym żołądkom. Smutne jest to, że chcąc żyć w zgodzie ze swoimi przyziemnymi, zupełnie zrozumiałymi wymaganiami, musimy jawnie uczestniczyć w postępującym procesie ogłupiania siebie i innych. Owo ogłupianie ma przecież stworzyć koniunkturę na następne „ogłupiacie”, ma stworzyć nowych ogłupiających i ogłupianych. Mam tylko nadzieję, że ktoś to kiedyś skończy. Pokaże, że ten wychwalany przez tyle lat kapitalizm nie musi oznaczać intelektualnej i duchowej pustki. Nie zrobi tego z pewnością moja generacja. Już za późno.

To pokolenie, które nazywam „**generacją nic**”, jest pokoleniem o tyle specyficznym, że podczas gdy represje towarzyszące życiu innych generacji miały związek z różnego rodzaju ograniczającym zniewoleniem (wojny, totalitaryzmy), to dziś młodość przegrywa z tą wolnością, o którą w przeszłości toczyła się walka. Wolność w naszych czasach zaczęła oznaczać intelektualną pustkę ludzi młodych, którzy nie chcą uczestniczyć w żadnym dyskursie społecznym, politycznym czy jakimkolwiek innym. Ta niechęć nie ma przy tym żadnych cech manifestu pokoleniowego, nie jest wyrazem żadnego przemyślanego stanowiska - jest po prostu rezygnacją z intelektualnych aspiracji. Wszyscy bez wyjątku zaczęliśmy nagle uczestniczyć w tworzeniu takiego obrazu wymagań społecznych, który pokazuje nam i młodszym od nas, że wszelka refleksyjność to błąd, słabość, że liczy się tylko to, co zwierzęco doraźne. Propagowane są takie cechy, jak przebojowość, elastyczność, różnie umotywowana hipokryzja i życiowe cwaniactwo. Nawet pochwała pracowitości brzmi w dzisiejszych czasach jak redukcja dysonansu poznawczego dokonywana przez pracoholika.

Rozpłynęliśmy się w tej nowej rzeczywistości na dobre. Nie ma już wroga, któremu należy się przeciwstawić, więc nie ma już nas. Ale czy na pewno wroga już nie ma? Czy odpowiada nam taka wolność? Jeżeli nie, to dlaczego milczymy? W to, że czujemy się w nowej rzeczywistości dobrze, nie jestem w stanie uwierzyć. Niektórzy mogą twierdzić, że przyczyną owej „bezydeowości” ludzi młodych jest duch postmodernizmu wypełniający nasze umysły przekonaniem, że „wszystko już było” i w związku z tym należy odrzucić jakiegokolwiek intelektualne wyzwania, które tylko sprowadzą nas na manowce. O ile bardziej jednak wolę takie „manowce” od tego, co proponują mi współcześni „inteligenci” próbujący sprowadzić świat do prostej, czytelnej etykiety, do prostackiego reklamowego hasła mającego zaspokoić moje wszelkie poznawcze ambicje! Nie dajmy sobie wmówić, że postmodernizm to hasło „wszystko już było” i nic więcej (jako magister filozofii gwarantuję, że tak nie jest), że wolność to wolny rynek i nic poza tym.

A jednak mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, że jeszcze nie wszyscy w to wierzą.

Zespół Cool Kids of Death: Krzysztof Ostrowski skończył ASP (projektowanie ubioru na Wydziale Tkaniny i Ubioru), ale jeszcze nie zrobił dyplomu. Kuba Wandachowicz skończył filozofię na Uniwersytecie Łódzkim, Marcin „Cinass” Kowalski przerwał studia filozoficzne na drugim roku. Jacek Frąs skończył studia na Wydziale Grafiki i Malarstwa i przygotowuje dyplom. Kamil Łazikowski broni pracę z Inżynierii Środowiska na Wydziale Budownictwa i Architektury (Politechnika Łódzka). Wojtek Michalec studiuje informatykę w Wyższej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi.